

MATTHEW DESMOND
BIEDA
W AMERYCE

Przełożył Piotr Królak

MARGINESY

Poverty, by America

COPYRIGHT © 2023 BY Matthew Desmond

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Piotr Królak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

Dla Devah

Wyobrażamy sobie, że ich
cierpienie to jedno, a nasze
życie to co innego.

Lew Tołstoj

Spis treści

Prolog	11
1. Jakim rodzajem problemu jest ubóstwo	17
2. Dlaczego nie zrobiliśmy większych postępów?	35
3. Jak podcinamy skrzydła pracownikom	59
4. Jak zmuszamy biednych do płacenia więcej	85
5. Jak polegamy na pomocy społecznej	107
6. Jak kupujemy sobie szanse	135
7. Zainwestujmy w likwidację ubóstwa	153
8. Wzmocnijmy pozycję biednych	177
9. Zburzmy mury	201
Epilog	223
Podziękowania	231
Przypisy	235

Prolog

Skąd w Ameryce tyle biedy? Napisałem tę książkę, ponieważ potrzebowałem odpowiedzi na to pytanie. Przez większość dorosłego życia badałem ubóstwo i o nim pisałem. Mieszkalem w bardzo biednych dzielnicach, spędzałem czas z ludźmi żyjącymi w ubóstwie w całym kraju, ślęczałem nad badaniami statystycznymi i raportami rządowymi, słuchałem lokalnych aktywistów i przedstawicieli związków zawodowych, czerpiąc od nich wiedzę, tworzyłem projekty rozwiązań systemowych, zgłębiałem historię państwa opiekuńczego, urbanistyki i amerykańskiego rasizmu, a na dwóch uniwersytetach prowadziłem zajęcia o nierównościach społecznych. A jednak, mimo tego wszystkiego, wciąż czułem, że nie dotarłem do istoty problemu – że brakuje mi jasnego i przekonującego wyjaśnienia, dlaczego w tej krainie obfitości jest tak wiele niedostatku.

Zacząłem dostrzegać biedę, gdy byłem dzieckiem. Dom, w którym dorastałem, kosztował 60 tysięcy dolarów. Stał kilka kilometrów za Winslow w stanie Arizona, małym miasteczkiem przy Drodze 66, na wschód od Flagstaff. Był mały, wyłożony boazerią, otoczony ubitą ziemią porośniętą kolczastymi chwastami. Uwielbiałem go: żelazny piecyk opalany drewnem, oliwniki. Wprowadziliśmy się tam, gdy mój ojciec objął posadę pastora w Pierwszym Kościele Chrześcijańskim. Pensja, którą udawało się zebrać

z tacy, nie była wysoka, a tata zawsze narzekał, że miejscowi kolejarze zarabiają więcej od niego. On znał grekę, a oni mieli związki zawodowe.

Nauczyliśmy się sami naprawiać różne rzeczy albo się bez nich obywać. Gdy wiatrówką Red Ryder wybiłem dziurę w oknie, tak już zostało. Ale parę lat później razem z przyjacielem rodziny wymieniliśmy silnik w moim pierwszym pikapie; odpowiednie części znaleźliśmy na złomowisku. Kiedy ojciec stracił pracę, bank zajął nam dom – jeszcze zanim stało się to modne – i nauczyliśmy się żyć również bez niego. Obwinałem o to przede wszystkim tatę. Ale po cichu zastanawiałem się też, dlaczego tak właśnie reaguje nasz kraj, gdy mieszkająca w nim rodzina wpada w tarapaty.

Poszedłem na studia na Uniwersytet Stanowy Arizony (Arizona State University, ASU) i składałem wnioski o każde możliwe stypendium i pożyczkę. No i pracowałem: jako barista na porannej zmianie w Starbucksie, jako telemarketer – gdzie tylko się dało. W wakacje zaszywałem się w lasach niedaleko mojego rodzinnego miasteczka i pomagałem przy gaszeniu pożarów. W trakcie semestrów zaczynałem spędzać czas z bezdomnymi w okolicach kampusu; nie chodziło o wolontariat w jadłodajni czy rozdawanie skarpetek, po prostu siadałem i z nimi rozmawiałem. Myślę, że na swój własny, młodzieńczy sposób próbowałem przetrwać to, co widziałem wszędzie dookoła: pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy.

U nas w Winslow niektórym rodzinom powodziło się lepiej niż innym, ale różnice nie były aż tak duże. Moi koledzy z roku jeździli Beemkami i Mustangami kabrio. Ja przez większą część studiów nie miałem samochodu, a kiedy w końcu go zdobyłem, był to Ford F-150 z 1978 roku, z tamtym silnikiem ze złomowiska i sporymi dziurami w podłodze, przez które widziałem migającą pode mną jezdnię. Koledzy z roku chodzili na sushi, a ja w pokoju

w akademiku zbierałem zapasy sardynek w puszcze i krakersów. Miasteczko Tempe na przedmieściach Phoenix, gdzie mieści się główny kampus ASU, wydało setki milionów dolarów na stworzenie pośrodku pustyni sztucznego jeziora o długości ponad trzech kilometrów – gigantycznej kałuży, z której co roku wyparowują dwie trzecie wody. Kilka przecznic dalej ludzie żebrali na ulicy. Jak to możliwe, zastanawiałem się, by tak rażący niedostatek współistniał z takim marnotrawstwem i przepychem?

Zacząłem drażyć ten temat na uczelni; zapisałem się na zajęcia, które – jak miałem nadzieję – pomogą mi pojąć mój kraj i dzielące jego społeczeństwo zdumiewające, bezwstydne nierówności. Kontynuowałem te poszukiwania na studiach doktoranckich na Uniwersytecie Wisconsin, jedynym, który zaakceptował moje podanie o przyjęcie. W swoich badaniach skupiłem się na kryzysie mieszkaniowym. Chcąc znaleźć się jak najbliżej sedna problemu, przeprowadziłem się do Milwaukee i zamieszkałem najpierw na osiedlu przyczep kempingowych, a potem w domu z pokojami na wynajem. Zaprzyjaźniłem się z eksmitowanymi rodzinami i towarzyszyłem im przez całe miesiące, a w końcu lata: spałem na ich podłogach, patrzyłem, jak dorastają ich dzieci, śmiałem się z nimi i kłóciłem, chodziłem na pogrzeby.

W Milwaukee poznałem babcie mieszkające w nieogrzewanych przyczepach. Zimą obkładały się kocami, modląc się, żeby nie wysiadły im farelki. Pewnego deszczowego wiosennego dnia widziałem eksmisję mieszkania pełnego dzieci – samych dzieci. Ich matka zmarła, a one po prostu żyły dalej w domu – dopóki nie zapukał szeryf. W kolejnych latach spotykałem w całym kraju ubogich Amerykanów walczących o godność i sprawiedliwość albo zwyczajnie o przetrwanie, co samo w sobie bywa wystarczająco trudne: opiekunki osób niesamodzielnych w New Jersey, które mimo pracy na pełny etat należały do grona bezdomnych,

pracowników fast foodów w Kalifornii, walczących o pracę pozwalającą na godziwe życie, oraz imigrantów bez ważnych dokumentów pobytowych w Minneapolis, organizujących się, by zdobyć tanie mieszkania, i porozumiewających się z sąsiadami za pomocą Tłumacza Google.

Oto kim jesteśmy: najbogatszym krajem na ziemi, w którym jest więcej ubóstwa niż w jakiegokolwiek innej rozwiniętej demokracji. Gdyby amerykańscy biedni założyli własne państwo, liczyłoby ono więcej mieszkańców niż Australia czy Wenezuela. Niemal co dziewiąty Amerykanin – w tym co ósme dziecko – zмага się z niedostatkiem. W Stanach Zjednoczonych żyje ponad 38 milionów ludzi, których nie stać na zaspokojenie podstawowych potrzeb, a przeszło 108 milionów utrzymuje się za 55 tysięcy dolarów rocznie lub mniej; wielu z nich tkwi w zawieszeniu między biedą a kruchym poczuciem bezpieczeństwa¹.

Ponad milion uczniów naszych szkół publicznych jest bezdomnych – mieszkają w motelach, samochodach, schroniskach i opuszczonych budynkach. Wielu osadzonych po trafieniu do więzienia odkrywa, że poprawia się ich stan zdrowia, ponieważ jako wolni (lecz zubożali) obywatele żyli w gorszych warunkach. Ponad 2 miliony Amerykanów nie mają w domu bieżącej wody ani spłukiwanej toalety. Mieszkańcy Wirginii Zachodniej piją wodę z zanieczyszczonych strumieni, a Nawahowie muszą jechać kilka godzin, by napełnić wodą beczki. Choroby tropikalne od dawna uważane za wyeliminowane, takie jak tęgoryjczyca, wywoływana przez tęgoryjca, pasożyta dwunastnicy, powróciły w najbardziej ubogich społecznościach Ameryki, często na skutek awarii systemów sanitarnych, które narażają dzieci na kontakt z nieoczyszczonymi ściekami².

Stany Zjednoczone wytwarzają rocznie towary i usługi o wartości o 5,3 miliarda dolarów większej niż Chiny. Nasz produkt

krajowy brutto jest większy niż połączone gospodarki Japonii, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Indii, Francji i Włoch, czyli trzeciego, czwartego, piątego, szóstego, siódmego i ósmego najbogsze-go kraju świata. Sama Kalifornia ma większą gospodarkę niż cała Kanada, a stan Nowy Jork przewyższa pod tym względem Koreę Południową³. Amerykańskie ubóstwo nie wynika z braku zasobów. Brakuje nam czegoś innego.

Książki o biedzie są zazwyczaj książkami o biednych – tak jest od ponad stu lat. W 1890 roku Jacob Riis pisał o tym, „jak żyje druga połowa”, dokumentując przerażające warunki panujące w nowojorskich kamienicach czynszowych i fotografując umorusane dzieci śpiące w zaułkach. Dekadę później Jane Addams relacjonowała opłakany los imigranckich robotników w Chicago: trzynastoletniej dziewczynki z Rosji, która popełniła samobójstwo, bo nie mogła spłacić pożyczki w wysokości 3 dolarów czy młodej matki zmuszonej do wielogodzinnej pracy, aż pokarm z piersi przesiąkał jej przez koszulę. Reportaże Jamesa Agee i Walkera Evansa z czasów wielkiego kryzysu oraz fotoreportaże Dorothei Lange wypaliły w naszej pamięci zbiorowej obrazy zakurzonych, sponiewieranych dzierżawców rolnych. W 1962 roku Michael Harrington opublikował *The Other America*, książkę mającą zwrócić naszą uwagę na „dziesiątki milionów istot ludzkich”, które „zniknęły z pola widzenia i z naszej świadomości”. Dwa lata później Lyndon i Lady Bird Johnsonowie odwiedzili Appalachy i usiedli na zbitej z surowych desek werandzie bezrobotnego pracownika tartaku, otoczonego dziećmi w przyciasnych ubrankach i z wielkimi zębami⁴.

Tego rodzaju publikacje dają świadectwo i pomagają nam zrozumieć naturę biedy. Są niezwykle ważne. Ale nie odpowiadają – i w gruncie rzeczy nie mogą odpowiedzieć – na najbardziej fundamentalne pytanie: *dla czego?* Dlaczego w Ameryce jest

tyle nędzy? Zdałem sobie sprawę, że ten problem wymaga innego podejścia. Żeby zrozumieć przyczyny biedy, musimy spojrzeć dalej, poza biednych. Ci z nas, którzy żyją w wygodzie i dostatku, muszą przyjrzeć się samym sobie. Czy my – bezpieczni i ubezpieczeni, z własnym dachem nad głową, z wyższym wykształceniem, chronieni przez system szczęściarzy – mamy jakkolwiek związek z całym tym niepotrzebnym cierpieniem?

Ta książka to moja próba odpowiedzi na to pytanie, skierowana właśnie do owych „nas”. W związku z tym jest to książka o biedzie, która nie traktuje tylko o biednych. To raczej opowieść o tym, jak żyje ta d r u g a, uprzywilejowana połowa, i o tym, jak umniejsza się życie jednych, by inni mogli rozkwitać.

Opierając się na własnych wieloletnich badaniach i reportażach, a także na pracach z różnych dziedzin nauk społecznych, wyjaśniam na tych stronach, dlaczego w Ameryce jest tak wiele biedy, i przedstawiam propozycje działań, które miałyby zmierzać do jej wyeliminowania. Aby zlikwidować biedę, z pewnością będziemy potrzebować nowych rozwiązań politycznych i odrodzonych ruchów politycznych. Zarazem jednak każdy z nas na swój sposób musi stać się abolicjonistą ubóstwa – żebyśmy przestali czerpać korzyści z niedostatku naszych bliźnich i nie godzili się na rolę nieświadomych wrogów ludzi ubogich.

Jakim rodzajem problemu jest ubóstwo

Niedawno spędziłem dzień na dziesiątym piętrze sądu w Newark, tam gdzie zapadają decyzje w sprawach opieki nad dziećmi. Spotkałem wówczas pięćdziesięcioletniego ojca, który całą noc przepracował w portowym magazynie. Zwierzył mi się, że jego ciało jest ociężałe. Czasem, gdy brał podwójną zmianę, wciągał speedballa – kokainę zmieszaną z benzodiazepiną i morfiną, a czasem z heroiną – żeby nie zasnąć albo uśmierzyć ból. Ohydny skład tej mieszanki został wykryty w raportach toksykologicznych, przez co mężczyzna wyglądał na zawodowego ćpuna, a nie na tego, kim był w rzeczywistości: wycieńczonego przedstawiciela amerykańskiej pracującej biedoty. Urzędnicy uznali, że ojciec nie jest w stanie sam opiekować się trójką dzieci; matka, która cierpiała na poważną chorobę psychiczną i zażywała fencyklidynę, również się do tego nie nadawała. Ojciec więc zaryzykował: powierzył dwoje starszych dzieci swojej macosze, licząc, że władze pozwolą mu zatrzymać i wychować najmłodsze. Udało się. Przed salą sądową mężczyzna uściśkał swojego obrońcę z urzędu, który uznał rezultat za prawdziwe zwycięstwo. Tak właśnie wygląda triumf na dziesiątym piętrze sądu w Newark: rezygnujesz z opieki nad dwójką swoich dzieci, by dostać szansę na wychowanie trzeciego – samotnie i w biedzie.

Formalnie daną osobę uważa się za biedną, jeżeli nie stać jej na zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych, takich jak jedzenie czy mieszkanie. Twórczynią oficjalnego wskaźnika ubóstwa (Official Poverty Measure, OPM) – czyli progu biedy – była Mollie Orshansky, urzędniczka Administracji Ubezpieczeń Społecznych (Social Security Administration, SSA). Orshansky doszła do wniosku, że skoro bieda to zasadniczo brak dochodów na pokrycie podstawowych wydatków, a nie ma nic bardziej podstawowego niż jedzenie, to rozmiar ubóstwa można oszacować na podstawie dwóch informacji: kosztu wyżywienia w danym roku oraz udziału, jaki ten koszt miał w budżecie rodziny. Ustaliła, że minimalne wydatki na żywność stanowią około jednej trzeciej budżetu amerykańskiej rodziny. Jeśli w 1965 roku czteroosobowa rodzina potrzebowała, powiedzmy, tysiąca dolarów rocznie na wyżywienie, to każdą rodzinę zarabiającą poniżej 3 tysięcy dolarów rocznie (czyli około 27 tysięcy dolarów na początku 2022 roku) uznawano za biedną, ponieważ przeznaczala ona ponad jedną trzecią swoich dochodów na jedzenie, rezygnując z innych podstawowych potrzeb. Orshansky opublikowała swoje ustalenia w styczniu 1965 roku i podsumowała: „Istnieje zatem w sumie 50 milionów osób – z czego 22 miliony to małe dzieci – które żyją w ponurym kręgu biedy lub co najmniej się do niego zbliżają”. Liczba ta zszokowała zamożnych Amerykanów¹.

Dzisiejszy oficjalny wskaźnik ubóstwa wciąż opiera się na obliczeniach Orshansky i jest co roku aktualizowany z uwzględnieniem inflacji. W 2022 roku próg ubóstwa wyznaczono na poziomie 13 590 dolarów rocznie dla osoby samotnej oraz 27 750 dolarów rocznie dla czteroosobowej rodziny.

Jak już wspomniałem, nie zrozumiemy, dlaczego w Ameryce jest tyle niedostatku, jeśli będziemy się przyglądać wyłącznie życiu ubogich. Musimy jednak zacząć właśnie od tego, by lepiej

zrozumieć, jakiego rodzaju problemem jest bieda – i pojąć, o co toczy się gra – ponieważ nie wynika ona wyłącznie z niskich dochodów. Mówiąc słowami poetki Layli Long Soldier, to zaledwie „plama ropy na powierzchni”².

Poznałem Crystal Mayberry, gdy mieszkalem w Milwaukee i zbierałem materiały do mojej poprzedniej książki, opowiadającej o eksmisjach i kryzysie mieszkaniowym w Stanach. Crystal urodziła się przedwcześnie pewnego wiosennego dnia 1990 roku, wkrótce po tym, jak jej ciężarna matka została jedenastokrotnie ugodzona nożem w plecy podczas napadu rabunkowego. Atak wywołał poród. Przeżyły obie, matka i córka. To nie był pierwszy raz, kiedy tę kobietę raniono nożem. Odkąd Crystal sięgała pamięcią, ojciec bił matkę. Palili crack, podobnie zresztą jak matka i babcia Crystal³.

Kobiecie udało się jakimś sposobem odejść od męża, a on sam wkrótce potem trafił na długie lata do więzienia. Crystal i jej matka zamieszkały z innym mężczyzną i jego rodzicami. Ojciec tego mężczyzny zaczął molestować dziewczynkę. Powiedziała o tym matce, ale ta nazwała ją kłamczuchą. Niedługo po tym, jak Crystal poszła do przedszkola, do akcji wkroczyły służby Child Protective Services, instytucji rządowej odpowiedzialnej za ochronę dzieci przed maltretowaniem. W wieku pięciu lat Crystal trafiła do rodziny zastępczej.

Była przetrzucana między dziesiątkami domów dziecka i kolejnymi rodzinami zastępczymi. Przez pięć lat mieszkała z ciotką. Potem ciotka ją oddała. Od tamtej pory najdłuższy okres, jaki Crystal spędziła w jednym miejscu, wynosił osiem miesięcy. Odkąd weszła w fazę dojrzewania, wdawała się w bójkę z innymi dziewczynami w placówkach opiekuńczych. Została oskarżona o napść i dorobiła się blizny na prawym policzku. Ludzie i ich domy,

zwierzęta, meble, naczynia – wszystko to pojawiało się w jej życiu i znikało z niego. Bardziej stałym elementem było jedzenie, więc Crystal zaczęła szukać w nim schronienia. Przybrała na wadze. Z powodu nadwagi nabawiła się bezdechu sennego.

W wieku szesnastu lat Crystal przestała chodzić do liceum. Gdy miała siedemnaście lat, zbadał ją psycholog kliniczny; zdiagnozował u niej między innymi chorobę afektywną dwubiegunową, zespół stresu pourazowego, reaktywne zaburzenia przywiązania oraz inteligencję niższą niż przeciętna. Po ukończeniu osiemnastu lat Crystal musiała opuścić system opieki zastępczej. Do tego czasu zmieniła adres ponad dwadzieścia pięć razy. Ze względu na zaburzenia psychiczne przyznano jej prawo do zasiłku Supplemental Security Income (SSI), państwowego świadczenia dla osób o niskich dochodach, które są w podeszłym wieku, niewidome lub niepełnosprawne. Miała otrzymywać 754 dolary miesięcznie, czyli nieco ponad 9 tysięcy rocznie.

Z powodu oskarżenia o napaść w jednym z domów opieki Crystal przez dwa lata była pozbawiona prawa do ubiegania się o mieszkanie socjalne. Nawet gdyby nie ten zakaz, i tak wylądowałaby na szarym końcu sześćioletniej listy oczekujących. Swoje pierwsze mieszkanie Crystal znalazła na rynku prywatnym: zniszczone dwupokojowe lokum. Znajdowało się w dzielnicy zamieszkałej głównie przez czarnoskórych, jednej z najbiedniejszych w mieście, ale Crystal jest czarna i odmawiano jej wynajmu w latynoskich i białych częściach miasta. Czynsz za mieszkanie pochłaniał 73 procent jej dochodów i wkrótce zaczęła zalegać z opłatami. Kilka miesięcy po przeprowadzce przeżyła swoją pierwszą oficjalną eksmisję, która została odnotowana w jej aktach, co praktycznie uniemożliwiało jej uzyskanie pomocy mieszkaniowej w przyszłości. Po eksmisji Crystal poznała w schronisku dla bezdomnych kobiet, z którą udało jej się wynająć kolejne

mieszkanie. Potem jednak wyrzuciła przez okno znajomego tej koleżanki i właściciel kazał jej się wynosić.

Spędzała noce w schroniskach, u znajomych i u członków swojego Kościoła. Przystosowała się do życia na ulicy: w nocy chodziła po mieście, a w dzień spała w autobusach lub szpitalnych poczekalniach. Nauczyła się, jak przetrwać, polegając na obcych. Na przystanku autobusowym poznała kobietę, u której ostatecznie mieszkała przez miesiąc. Ludzie lgnęli do Crystal. Była towarzyska i zabawna, miała rozczułający nawyk klaskania i śmiania się z samej siebie. Lubiła śpiewać publicznie, głównie pieśni gospel.

Traktowała zasiłek SSI jako pewnik. Nie mogli cię z niego zwolnić ani obciąć ci godzin. „SSI zawsze przyjdzie” – mówiła. Aż pewnego dnia nie przyszedł. Crystal udzielano zapomogi, dopóki była nieletnia, ale podczas ponownej weryfikacji uznano, że jako dorosła nie kwalifikuje się już do świadczenia. Teraz jej jedynym źródłem utrzymania były kartki żywnościowe. Próbowwała oddawać osocze, ale miała zbyt cienkie żyły. Wykorzystała resztki kontaktów, jakie pozostały jej z Kościoła i rodzin zastępczych. Kiedy po kilku miesiącach nie przywrócono jej zasiłku, stoczyła się w bezdomność uliczną i prostytutkę. Nigdy nie była rannym ptaszkiem, ale po jakimś czasie zorientowała się, że najlepiej jest polować na klientów rano, gdy mężczyźni idą do pracy.

Dla Crystal i ludzi w podobnych sytuacjach ubóstwo to oczywiście brak pieniędzy, ale też nieustanne nawarstwianie się problemów.

Bieda to ból – ból fizyczny. Zakrada się do bolących kręgosłupów opiekunek osób niesamodzielnych i dyplomowanych asystentek pielęgniarских, które pochylają się, by dźwigać starych i chorych z łóżek i toalet; tkwi w stopach i kolanach pracowników

sklepów, zmuszanych do stania, gdy przyjmują nasze zamówienia i kasują nasze zakupy; kryje się w wysypkach skórnych i migrenach sprzątaczek, które czyszczą nasze biurowce, domy i pokoje hotelowe środkami zawierającymi amoniak i triklosan.

W amerykańskich zakładach mięsnych co tydzień dochodzi do dwóch amputacji: piła taśmowa odcina komuś palec lub dłoń. Pracownicy kompletujący zamówienia w magazynach Amazona mają dostęp do automatów z darmowym Advilem i Tylenolem, środkami zawierającymi ibuprofen i paracetamol. Mieszkanie w slumsach sprzyja astmie, a alergenzy pleśni i karaluchów przenikają do młodych płuc i dróg oddechowych; dzieciom żyjącym w takich warunkach grozi też zatrucie ołowiem, powodujące nieodwracalne uszkodzenia ich maleńkich mózgów i ośrodkowych układów nerwowych. Bieda to rak, który rozwija się w komórkach ludzi mieszkających w pobliżu zakładów petrochemicznych i spalarni odpadów. Mniej więcej co czwarte dziecko żyjące w ubóstwie ma nieleczoną próchnicę, która może doprowadzić do poważniejszych uszkodzeń zębów, powodując ostry ból, następnie zaś do rozprzestrzeniania infekcji na twarz, a nawet do mózgu. Ponieważ ubezpieczenie finansowane ze środków publicznych zwraca tylko ułamek kosztów leczenia stomatologicznego, wielu rodzin po prostu nie stać na regularne wizyty u dentysty. Dziesięć lat po uchwaleniu Affordable Care Act, ustawy o przystępnej opiece zdrowotnej, 30 milionów Amerykanów wciąż nie ma żadnego ubezpieczenia⁴.